Tomiki





Misyjne.



Tomik II.



Tomiki Misyjne

Artykuły, opowiadania, wiadomości treści religijnej i etnograficznej.



Tomik II.

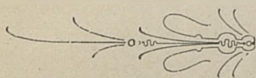
Cena: **20** hal.; **20** fen.; **10** kop.; **5** ct. am.

Do nabycia *w Sodalicyi św. Piotra Klawera, Kraków,* ul. św. Anny, 4.

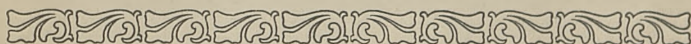




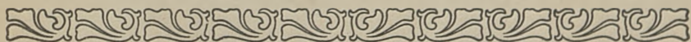
TOMIK



DRUGI

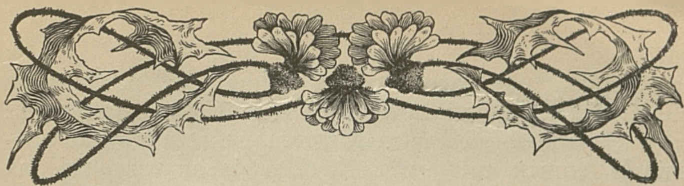


TREŚĆ DRUGIEGO »TOMIKA«:



KRAKÓW 1913.
NAKŁADEM SODALICYI ŚW. PIOTRA KLAWERA.


BIBLIOTHECA
VNIV. IAGELL.
CRACOVIENSIS





Czy mogę się przyczynić do szczęścia innych?

Bywają ludzie, którym tak niezbędne do życia szczęście innych, jak powietrze do oddychania. Pragnęliby oni wszystkie łzy otrzeć, wszystkie rany zabliźnić, wszelkim potrzebom braci swych cierpiących uczynić zadość. Radziby zaspokoić głód ciała, a więcej jeszcze głód duszy tych, co dobiegają nieraz kresu życia swojego zdala... od Boga. Ale serca te szlachetne rozbijają się często o własną swą bezsilność i... ból je ściska. A tymczasem każdy niemal człowiek dobrej woli może zmniejszyć niedolę swych braci. Środków niesienia ulgi bliźniemu jest bardzo wiele, a wybór zależy od warunków i możności naszej; tu nadmienimy o jednym tylko, jako najbardziej odpowiadającym naszemu celowi.

Mnóstwo jednostek gubi się z duszą i ciałem z powodu z ł y c h k s i ą ż e k. Trucizna, za pośrednictwem druku, podawana jest pod wszelkiemi postaciami i w najrozmaitszych dozach, aby tem łatwiej mogli ją sobie przyswoić czytelnicy różnego wieku, temperamentu, inteligencyi i zasobów pieniężnych. Wszystko tu obliczone na rozbudzenie namiętności, najniższych instynktów. Siejba potworna, a stają do niej legiony!...

Czyż wobec tego, Czytelnicy kochani, nie powinnibyśmy, posuwając się zwartym szeregiem, zasypać niwy naszej zdrowym ziarnem? Niekażde — plon wyda, ale

ta rachuba nie powstrzymuje rolnika od powierzenia ziemi rokrocznie zasiewów; oby więc i nas nie zniechęciła!

Sodalicya św. Piotra Klawera puszcza w świat obecnie II tomik misyjny. Niechże się on rozejdzie, jak kraj nasz długi i szeroki; niech znajdzie gościnne przyjęcie zarówno w chacie, jak w pałacu; niech ożywi wiarę w nas i rozbudzi w duszach pragnienie dania jej czarnym poganom!...

Obliczyć trudno, ilebyśmy dobrego zdziałać mogli, ile dusz odrodzić, szerząc misyjne pisma katolickie i broszury, stawiące nam przed oczy czyny nowonawróconych chrześcijan; jeżeli bowiem »słowo porusza serce, to oprzeć się niemal niepodobno dobrym przykładom«.

X.

Kto się na wzór Chrystusa dla bliźnich poświęci,
Tego nawet niewdzięczność ludzka nie zniechęci.

(Ks. A. S. Krasiński).





O pierwotnych zwyczajach w Ugandzie.

Ks. Biskup Streicher, Wikaryusz Apostolski Północnej Nyanzy, przyjmował kilku naczelników nawróconych na chrześcijaństwo. Podczas tych odwiedzin. rozmowa zeszła na bijące w oczy podobieństwo, jakie istnieje między dogmatami i praktykami chrześcijańskiemi, a znaczną liczbą wierzeń panujących w Ugandzie, odziedziczonych po przodkach. Ci z Bagandów, którzy nawrócili się na chrześcijaństwo i mają zwyczaj zastanawiania się nad faktami, zauważyli już od dawna to podobieństwo; nasunęło im ono nawet przypuszczenie, że przodkowie ich, którzy, według wszelkiego prawdopodobieństwa, wywędrowali z dolnej Etyopii, znali religię chrześcijańską i prawdopodobnie byli chrześcijanami, zanim przyszli do Ugandy. Ks. Biskup słuchał z przyjemnością uwag, jakie goście jego wygłaszali o tak zajmującym przedmiocie, zwrócił się wkońcu do jednego z nich, piastującego najwyższe stanowisko i odznaczającego się najwybitniejszą inteligencyą, i poprosił go o spisanie i doręczenie mu rodzaju sprawozdania z owej rozmowy, co zaraz zostało dokonane. Dzięki uprzejmości ks. Biskupa Streichera, podajemy tłómaczenie nadesłanego nam tekstu.

«Oto co nam przekazali nasi przodkowie:

Kintu, pierwszy król tego kraju zeszedł tu z nieba, mając jedną tylko żonę, imieniem Nambubi.

Fakt ten, że Kintu miał tylko jedną żonę, dowodzi, że w owym czasie jedność małżeństwa była znaną.

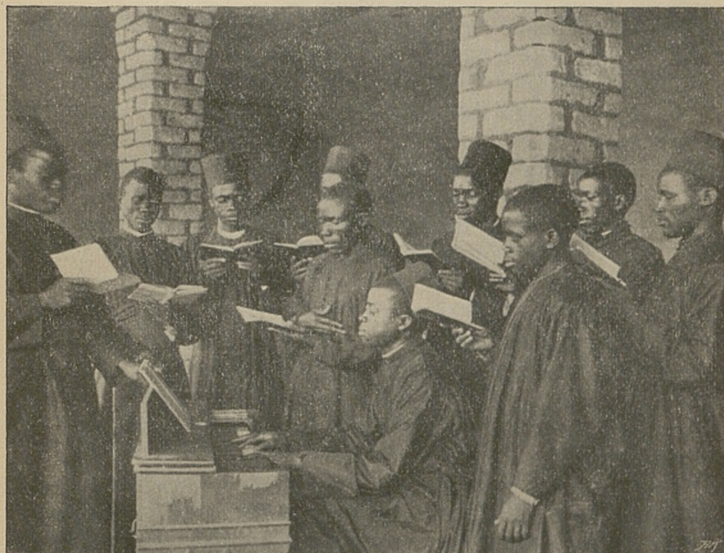
Tradycye, przechowywane w Ugandzie, mówią nam, że pierwotnie ludzie nie mieli wcale umierać. Oto skąd przyszła na ludzi śmierć: kiedy Kintu i jego żona opuszczali niebo, niebo rzekło im: «teraz, kiedy macie zamieszkiwać ziemię, nie wracajcie już tutaj nigdy, bo gdyby was Śmierć zobaczyła, chciałaby iść z wami». Ale w drodze Nambubi, żona Kintu, przypomniała sobie, że nie wzięła prosa dla swej kury; wróciła więc, ale Śmierć zobaczyła ją i rzekła: «Chodźmy razem». W ten to sposób, śmierć dostała się na ziemię i pozabijała wszystkie dzieci Kintu. Z tego wnioskujemy, ze przodkowie nasi wiedzieli już o tem, że to kobieta pierwsza zgrzeszyła brakiem posłuszeństwa. Dla nich proso było naszym owocem zakazanym.

Przodkowie nasi mieli także pojęcie o istnieniu najwyższej Istoty, Pana wszystkich ludzi, bo dzieci, w owym czasie kiedy wpadały w złość, miały zwyczaj iść do gaju bananowego i tam stojąc z rękami wzniesionemi do nieba wołały: «Boże, Boże zabierz mię», albo też «pomścij mnie Ty, który jesteś wszechmocny»!

Jedno z naszych przysłów brzmi: «Rodzice nasi dają nam ciało, ale nie dają nam duszy». Przez wszystkie czasy wierzono tutaj, że dusza ludzka jest nieśmiertelną i że, opuściwszy ciało, dusza jest czemś wyższem od ludzi żyjących, że jest wszystkowidzącą i wszystkowiedzącą, że niema siły, która mogłaby jej przeszkodzić poruszać się tak, jak jej się podoba. Oddawano wielką cześć duszom zmarłych, a nawet, skoro ktoś umarł w oddali, budowano mu chatę; panowało bowiem przekonanie, że dusza zmarłego nie omieszka powrócić do swej rodziny. Zanoszono też modły do dusz zmarłych o powrót do zdrowia.

Wszczepiono w nas także wiarę, że u wejścia do krainy zmarłych czeka nas sąd. Na sądzie tym, musi każdy wymienić na jaką umarł chorobę i otrzymuje wtedy miejsce między innymi zmarłymi, których ta sama cho-

roba przyprawiła o śmierć. Jeśli miał on dzieci, to dzieci te przychodzą mu w pomoc i nasuwają mu właściwe słowa, aby się skutecznie umiał bronić na sądzie. Mamy pewno przysłowie, które mówi: «zmarłem od niedawna i nie wiem jeszcze, co się dzieje w krainie zmar-



Seminarzyści czarni z Ugandy.

łych». Tak więc przodkowie nasi wierzyli, że istnieje sąd, przed którym każdy zmarły stawić się musi.

Dowodem tego, że mieli oni nadzieję zmartwychwstania, jest okoliczność, iż miano zwyczaj mówić do tych, którym obcinano uszy: «Nie gniewajcie się, jeśli lżyć was będą mówiąc, że nie posiadacie uszu; z całą pewnością one wam kiedyś odrosną». Inne przysłowie brzmi: «Niewolnik, który nie je, zbiera sobie na zapas», t. j. na czas życia po śmierci.

Ojcowie nasi mówili: «W niebie niema już śmierci, ci, którzy tam są, nie umierają». Dlatego też jeden z ich śpiewów brzmiał: «Gdybym miał skrzydła, wzleciałbym aż do nieba, aby uciec przed śmiercią. — Jeśli chcesz ustrzedz się śmierci, idź do nieba, a uwolnisz się od niej». Niektórzy z nich nadawali sobie nawzajem imiona takie jak: «Spokój niebieski». Wszystko to wskazuje, iż wierzono w szczęśliwość, czekającą tam w górze. Przodkowie nasi utrzymywali też, że w niebie istnieją ludzie z ogonami. Przypuszczamy, że tak nazywali oni Aniołów, nie znajdując lepszego wyrażenia na określenie skrzydeł.

Kiedy się pozdrawiali wzajemnie jeden pytał: «Jak się masz?» a drugi odpowiadał: «Mam się dobrze; jestem jeszcze pod opieką stróża». Czyż nie przegląda w tem powiedzeniu wiara w opiekę niewidzialnego Anioła Stróża?

Niegdyś posiadano tu posążek pewnego bóstwa. Otóż co roku wynoszono go z chaty, w której był umieszczony i stawiano na dworze. Przez dziewięć dni wszyscy zgromadzali się, bito w bęben i zastawiano ucztę. Wszyscy czarownicy i kapłani bóstw brali udział w tej uroczystości.

Bóstwo to mówiło wielkim głosem: «Jestem drogą kłamstwa» i «Będziecie mnie szukali, ale nie znajdziecie mnie», albo jeszcze: «Jestem bóstwem nieczystem». Znanem było powszechnie powiedzenie: «To co cię nakłania do zabobonu, rzuci cię kiedyś do ognia». Oczywiście ogniem tym było piekło.

Kiedy pierwsze tkaniny ukazały się w Ugandzie, Lubale (bóstwo) nie chciało słyszeć o tych, którzy zaczęli ich używać i nie pozwalało im przestępować progu swej chaty. Przypuszczamy, że niełaska ta na tkaniny pochodziła stąd, że w ślad za niemi przyjdzie religia, która położy koniec jego panowaniu.

Od niepamiętnych czasów czarownicy tutejsi posługiwali się sandałami do odgadywania przyszłości. Na jednym z tych sandałów, znajdował się, wyszyty białemi

muszelkami, krzyż. Kiedy wróżba wypadała pomyślnie, czarownik mówił do tego, który przyszedł zasięgnąć jego rady: «Uczyń znak nad sobą tymi sandałami!» i wtedy człowiek ten czynił prawdziwy znak krzyża św. Przez ten czas zaś czarownik czynił inny znak, mianowicie dotykał sandałami czoła, piersi, prawego i lewego ramienia i wreszcie nóg. Było to na pamiątkę świętego drzewa z góry Kalwaryjskiej i ran Ukrzyżowanego Zbawiciela.

Kiedy dziecko przychodziło na świat, odrazu polewano je wodą, aby żyło i aby uwolnić je od nieprzyjaciół. Później dokonywano obrzędu nadania mu imienia, polewano je wtedy wodą i namaszczano masłem: podczas tej czynności dziadek ze strony ojca nadawał mu imię jednego z jego przodków mówiąc: «Niech twój dziad N. ma cię w swej pieczy i wyjedna ci życie tak długie jak jego». Po tym obrzędzie uważano, że dziecko zostało oczyszczone ze wszystkich grzechów; przestawało być dzieckiem i zaczynano je zaliczać między dorosłych. W dzień tej uroczystości cała rodzina gromadziła się na ucztę.

Dzisiaj dochodzimy do przekonania, że obrzęd ten był słabem przypomnieniem Chrztu św.

Zmarłych kropiono wodą, bo wierzono, że woda posiada oczyszczającą własność, poczem namaszczano masłem (przypomina to Ostatnie Namaszczenie). Następnie rozkładano im ręce i nogi i owijano ciało tkaninami z łyka drzewnego, tak, jak to jest u nas i obecnie we zwyczaju.

W Ugandzie otaczamy po dziś dzień szczególną czcią Namasole (Królowę Matkę). Katikkiro (pierwszy minister) nawet, pada przed nią na kolana, a król nie jest w stanie niczego jej odmówić. Posiadała ona władzę odbierania urzędu naczelnikom i nadawania innym tej godności. Żaden książe krwi królewskiej nie mógł być skazanym na śmierć, zanim nie zasięgnięto pierwiej jej rady.

Bez litości zabijano lub kaleczono każdego, kto w sposób nieopatrzny pozwolił sobie pochwalić kogoś

w obecności króla, w przekonaniu, że królowi tylko samemu należą się wszystkie pochwały i dlatego wszyscy pokłon przed nim składają mówiąc: «Osinze! ty przechodzisz wszystkich!» Jedną tylko Namasolę można było chwalić bezkarnie i nie tylko, że nie ściągano za to na siebie oburzenia królewskiego, lecz przeciwnie, król cieszył się, słysząc pochwały na cześć swej matki.

Nazywano tu Królowę matkę także «Kobaka», chociaż imię to należy się tylko królowi; nazywano ją też: «Naluggi», t. j. bramą, przez którą dotrzeć można do króla, albo «Nabinene», t. j.: wyższą ponad wszelkie wielkości; albo wreszcie «Najjano» t. j. przechodzącą wszelkie cuda.

Często zdarzało się, że ludzie skazani na śmierć, lub na utratę jakiego członka, błagali króla o litość, zaklinając go na miłość dla matki. «O Panie, mówili, przez miłość dla Naluggi, dla Nabinene» i często zdarzało się, że król darowywał im karę.

Otóż taka miłość synowska nie mogła płynąć skądinąd, jak tylko z religii, i jeśli my dzisiejsi, ze szczepu Baganda, mamy tak wielkie nabożeństwo do Najświętszej Bożej Rodzicielki, Maryi, to zawdzięczamy je po części naszym przodkom i temu ich przekonaniu, że należy czcić Namasolę.

Bóstwa tego kraju otaczały zawsze szczególnem upodobaniem dziewice. Dziewice strzegły chaty, w których stały posągi bożyszcz, panowało bowiem przekonanie, że czysta dziewica jest jaknajpewniejszą ochroną przeciw nieszczęściu. W wierzeniach tych widoczne są szczątki prawdziwej religii.

Mówiono ongiś, że królem tego kraju w czasach zamierzchłych był wąż: węża tego miał Kintu wypędzić. co znaczy, że Kintu, wniósłszy ze sobą religię, wygnał z tego kraju węża czyli szatana.

Jedyną rzeczą jaką się wie z całą pewnością o Kintu jest, że był on sprawiedliwym i dobrym. Dobroć tę okazywał nawet istotom nieżyjącym, które nazywał swemi

dziećmi. Pragnieniem jego było wygnać zewsząd uczucie bojaźni.

Dla własności cudzej miano tu niegdyś wielkie poszanowanie, i nikt nie byłby się odważył przywłaszczyć cudzej rzeczy.

Przodkowie nasi brzydzili się złymi obyczajami; kobiety wystrzegały się ich szczególnie, bojąc się ściągnąć na siebie lub swe dzieci śmierć. Nie wolno było prowadzić rozmów nieprzyzwoitych, a wymówienie jakiegoś brzydkiego słowa w czyjejś obecności, równało się wyrządzeniu mu obelgi. Patrzenie na rzeczy nieprzyzwoite było również wzbronione; dzieciom, aby je od widoków takich ochronić mówiono, że odbierają one wzrok. Później jednak, za panowania króla Mukabya zarzucono dawne zwyczaje i zepsucie wślizgnęło się do kraju.

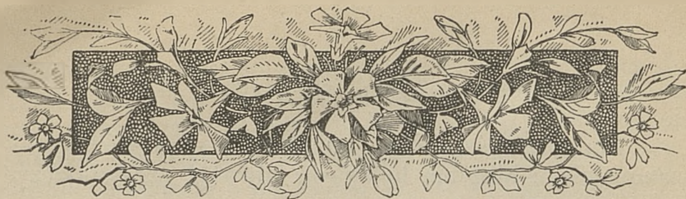
Dzisiaj zdajemy sobie bardzo dobrze sprawę z tego, że to religia chrześcijańska wszczepiła w naszych przodków te zasadnicze ich cnoty, a mianowicie: dobroć, sprawiedliwość, odpuszczenie win bliźnim i czystość obyczajów, którymi się odznaczali.

Stanisław Mgwanya
naczelnik sądu w Ugandzie.

„Kto daje jałmużnę na rzecz misyi, wykonywa jednocześnie liczne czyny miłosierdzia".

(Leon XIII.).





Kipili.

Gdzie się wieczysty promień prawdy żarzy,
Gdzie Rzym na siedmiu rozpostarł się górach,
Leon XIII swych misyonarzy
Przyjmuje w starych watykańskich murach.
Dawno już temu, gdy z ojczystych łanów
Śpieszyło grono zacnych tych kapłanów,
Przez lądy, morza, między dzikie ludy,
W nieznane kraje, na misyjne trudy.
Dziś, kiedy włos ich posrebrzyła troska,
Wracają znowu na ojczystą ziemię
Stamtąd, gdzie dotąd niby pomsta Boska,
Klątwa Noego ściga Chama plemię,
Gdzie w niewolnictwie i ciemnościach leży
Bez światła wiary, lud wielki a dziki.
Misyonarze przybyli z wybrzeży
Pięknej Ugandy, z dalekiej Afryki,
Aby w odwiecznym chrześciaństwa zdroju
Błogosławieństwo zjednać sobie Boże,
Zaczerpnąć siły do dalszego znoju
I przed Papieżem stanęli w pokorze...

A Ojciec święty na ich twarzy bladej,
Choć ogorzałej od promieni słońca.
I w ich źrenicach odczytuje ślady
Prac, niebezpieczeństw, poświęceń bez końca...

Nagle spostrzega wśród misyonarzy
Jakąś dziecinę biedną, wątłą, małą,
Co do kapłanów tuli się nieśmiało,
Był to chłopaczek ciemnej, czarnej twarzy.



Kipili.

Sierotą będąc w ojczystej krainie,
Pod pieczą księży mały murzyn wzrasta
I razem z nimi, przebiegłszy pustynie,
Przybywa teraz do Wiecznego Miasta.
Z bojaźnią wielką dziecię się wpatruje
W tego, którego zwą Kościoła Głową,

A w głębi duszy przędzę myśli snuje
O wielkim Ojcu, który Chrystusową
Rządzi owczarnią w zgodzie i miłości,
Potężnym władcom wydając rozkazy,
Chociaż sam od nich uboższy sto razy,
Bo mu wydarto wszystkie posiadłości,
I z którym żaden król niezwyciężony
Nie mógł się nigdy zrównać w majestacie,
Bo go słuchają ludzi miliony,
Jak o tem słyszał w swej rodzinnej chacie.

Wtem Ojciec święty przyzywa murzyna,
Gładzi mu włoski główki kędzierzawej,
Ale się dziwi, widząc, że chłopczyna,
Choć taki mały, nie ma ręki prawej;
Więc ze współczuciem ojcowskiem prawdziwie
Papież nad dzieckiem pochyla się tkliwie,
Pytając: «Gdzieżeś stracił ją, nieboże,
Czy to przypadkiem, czy już w boju może?»
I coraz bardziej rośnie rozrzewnienie,
Po świętem licu łza litości spływa,
Kiedy murzynek, tłumiąc swe wzruszenie,
Temi się słowy nieśmiało odzywa:

«Za to, że służył prawdziwemu Bogu,
Rodacy nasi ojca mi zabili,
A mnie się zdaje, że widzę w tej chwili,
Jak upadł martwy na rodzinnym progu.
Zaraz też potem ci mordercy podli,
Włóczniami piersi matki mej przebodli,
Bo ich fetyszom kłaniać się nie chciała;
Mnie zaś ze sobą ta gawiedź zabrała
I gdy się ze mną tłum pogan oddalił,
Widziałem jeszcze, jak nasz dom się palił.
Straciwszy wszystko, com kochał na świecie,
Jak ptak, własnego pozbawiony gniazda,
Jeden skarb w duszy zachowałem przecie,
Była nim wiara, co świeci jak gwiazda.

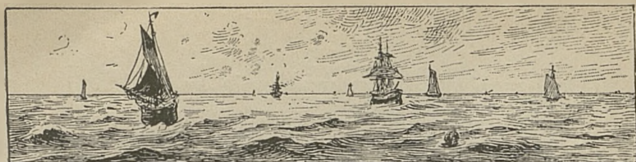
Ale czarownik mianował mnie synem,
Pragnąc bym został jak on poganinem,
Gdy zaś nie zechcę, to mi utnie rękę.
I podniósł topór... ja wybrałem mękę...
Gdym się przeżegnał, wnet fetyszer stary
Siekierą swoją silny cios mi zadał,
Więc za to tylko jam rękę postradał,
Żem się prawdziwej nie chciał wyrzec wiary!...»

I umilkł murzyn, a Papież wzruszony
Całuje, głaszcze ciemną skroń dziecięcia
I przyciągnąwszy drżącemi ramiony,
Jak czuły ojciec bierze w swe objęcia,
Głos łzą stłumiony w cichym szepcie znika:
«I jam w swem życiu ujrzał męczennika»!

„Z siebie samego nic nie mogę, ale mogę wszystko
w Tym, który mnie utwierdza".

(Filip. IV, 13).





Nad Zambezą.

(Z odczytu **W. O. Hankiewicza T. J.**, Misyonarza z Afryki, wygłoszonego w filii krakowskiej Sodalicyi św. Piotra Klawera).

Czcigodny Prelegent przeniósł myśl naszą na czarny kontynent, co z tem większą przyszło łatwością, że to o czem mówił, oglądał własnemi oczyma. — Przytaczamy tu kilka szczegółów dotyczących religii i charakteru tamtejszych murzynów, oraz fauny i gleby tamtejszej.

Murzyni Zambezcy mają pojęcie o Bogu, którego uznają wielkim Panem, co stworzył świat cały i wszystko na świecie, ale poszedł sobie do nieba i już o nic się nie troszczy, ani niczem nie zajmuje. Natomiast są duchy złe i dobre, których lękać się, lub im cześć oddawać należy.

Murzyni ci, są gadatliwi i ciekawi, a bardzo usłużni. Na ból niezmiernie wytrwali; umierają spokojnie i zazwyczaj nie chorują długo. Sam Wielebny O. Hankiewicz miał sposobność przekonać się o tem niejednokrotnie.

Raz n. p. zawezwano go do umierającej murzynki, a skoro przybył na miejsce, dowiaduje się, że chora poszła po wodę. Czekał więc dość długo zanim wróciła, ale, ujrzawszy ją, bez wahania zaopatrzył na drogę do wieczności, przewidując, że godziny jej już policzone. I rzeczywiście tej samej nocy Bogu ducha oddała.

Co się tyczy zwierząt, to lwy w samej Boromie prawie się nie ukazują; dopiero o trzy godziny drogi znajdują się lwie gniazda, a przechodząc z jednej stacyi misyjnej do drugiej, można spotkać się z tym wspaniałym, ale niebezpiecznym królem puszczy. Częściej widuje się lamparty, hyeny, szakale. Jednak prawie na każde z tych zwierząt, znajdzie się sposób ukarania za zbytnią śmiałość. Tak n. p. na lwy sporządza się mocną klatkę drewnianą, z ciężką zasuwą z góry spadającą. W klatce owej pozostawia się przywiązane prosiątko, a kiedy lew próg przestąpił, aby rzucić się na swą ofiarę, wówczas zasuwa spada i tylko mały otwór w niej wycięty, pozwala przekonać się, że drapieżca schwytany. Wtedy też z łatwością można go zastrzelić.

Lampart znowu, także nocą szukający żeru, zoczywszy kawałek mięsa, rzuca się na nie łakomie. Niestety kąsek ten, dla niego przygotowany, wisi na sznurku, przytwierdzonym do cyngla tak, że kiedy zwierz szarpnie, broń wypala i prawie zawsze pozbawi go życia na miejscu.

Jednem z najniebezpieczniejszych zwierząt jest krokodyl i to tem bardziej, że ciemny kolor i kształt jego, kiedy spokojnie leży na brzegu, czyni go podobnym do kłody drzewa. Można też niepostrzeżenie zbliżyć się zanadto, co wróży śmierć niechybną. Potrzeba przytomności umysłu, aby ujść temu potworowi. Dowód wielkiego sprytu w tym kierunku dał mały chłopak z Misyi, kiedy, złapany za nogę przez takiego aligatora, wetknął mu palce w oczy, czem go oślepił i zadał ból, skutkiem którego krokodyl zrezygnował ze swej zdobyczy, a uwolniony z serdecznego uścisku chłopak, z bolącą wprawdzie nogą, uciekł coprędzej. —

Opowiadanie o ptakach było także interesujące, szczególnie o tych, które wołaniem swoim przypominają imiona ludzkie, co przedewszystkiem chłopaków niezmiernie rozwesela.

Grunt jest kamienisty, a zatem pod uprawę bardzo nie podatny. Obecnie już znowu głód tam zagląda. Ojcowie rozdali rodzinom chrześcijańskim ziarno pod za-

siew, z którego poprzednio porobili zapasy. Jeżeli jednak nie będzie deszczu, czeka biednych murzynów powtórna klęska głodowa.

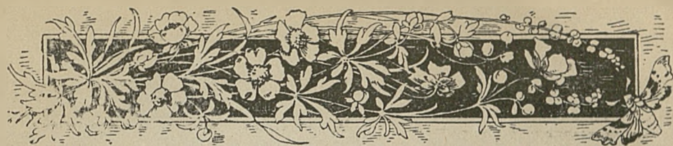
Mają oni wprawdzie «fabrykantów deszczu», ale tym nie zawsze udaje się, wygrażaniem pięścią, gestykulacyą i krzykami, spowodować pożądane opady. Po nieudanej próbie, oświadcza ten wielki człowiek, że źle był wynagrodzony, lub wynajduje jakąkolwiek przyczynę, dla której zabiegi nie odniosły pożądanego skutku. A łatwowierni, nie zrażeni tem bynajmniej, w razie potrzeby znowu, z całem zaufaniem, udają się do nieoszacowanego cudotwórcy.

Taki to poziom umysłu tych biednych ludzi!

Ten tylko ni jednego dnia próżno nie straci,
Kto w każdym coś dobrego zrobi dla swych braci.

(Ks. A. S. Kr.).





Jak się podróżuje koleją.

List czarnego katechisty, Januarego, do jednego z OO. Misyonarzy w Afryce.

Niechaj mój list dojdzie do O. Ludwika, wielkiego nauczyciela w Ilondze. Wielkie pozdrowienie! Donoszę Ci, że przybyłem już na miejsce, gdzie się «dymiący wóz» zatrzymuje, sapie, świszczy, wyrzuca ładunki i przyjmuje nowe; przybyłem tu w ten sam dzień, który oznaczyłeś. Powiedziałem przedtem do mojej żony: «Słuchaj: jutro będzie tędy przejeżdżał «wóz dymiący», i będzie ciągnał za sobą takie małe domki, do których nas wpakują. Jutro wieczorem staniemy na wybrzeżu gdzie mieszkają: «Proszę Siostry», które cię przyjmą do swojego domu, będą cię leczyć i ty może wyzdrowiejesz, jeśli Pan Bóg pozwoli. Ojciec Ludwik jest tak dobry, że tę podróż zapłaci. Nazajutrz, o brzasku rzekłem do niej znowu: «kochana towarzyszko, zapakuj dobrze w matę nasze odzienie, kukurydzę i garnek do gotowania i czekaj na mnie; ja zaś będę czekał dopóki Europejczyk nie otworzy swojego okienka przez które sprzedaje karteczki wszystkim tym, którzy mają pieniądze na podróż. Czekałem długo przy tym okienku, zanim się ono otworzyło i biały dzień rozpędził już zupełnie cienie nocy.

«Co to za hałas!» — zawołał Europejczyk ze swojego okienka, — «po kolei, albo inaczej dostaniecie!» — Możesz sobie krzyczeć biały człowieku, każdy z nas chce mieć

na czas swoją karteczkę i nie spóźnić się do «dymiącego wozu».

Wkońcu i ja się dostałem do okienka.

— «Wielki mistrzu», rzekłem do tego pana, «dwie karteczki, dla mojej żony i dla mnie».

— «Dokąd, czarnoskóry?»



— «Do Daressalaam».

— «Pokaż najpierw, czy masz $8^1/_2$ rupii!»

Pokazałem.

Biegnę potem do mojej żony, chcąc abyśmy wsiedli, ponieważ ten dymiący wóz syczał już jakby jakich 20 węży, i spieszę potem do jednego z domków, wołając na moją towarzyszkę: — «Chodź co prędzej, daj

pakunek i wsiadaj, ja mam i dla ciebie karteczkę, chodź, bo inaczej wóz odjedzie!»

— «Jabym miała wsiąść do tego zwierza! za nic!»... i jak nie zacznie uciekać... Chciałem biedz za nią ale jeden Europejczyk zawołał na mnie: »jeśli się ruszysz, zepchnę cię pod koła«, wóz zaczął syczeć i ja musiałem sam odjechać, bo żona moja uciekła razem z pakunkiem.

Co począć, co powie O. Ludwik? Tymczasem przyszedł ten «wielki pan», który przechodzi przez wszystkie domki i chciał zobaczyć nasze karteczki.

— «Panie», rzekłem do niego, «jedna karteczka należy do mojej żony, która się bała wsiąść do «dymiącego wozu», O. Ludwik zapłacił za te kawałki papieru, oddaj mi pieniądze!»

— Co ty wyśpiewujesz, głupcze, wyśmiał mnie Europejczyk, zrobił dziurki w obydwóch karteczkach i oddał mi je z drwinami. Chciałem się jeszcze upominać, ale on się bardzo zgniewał i powiedział, że mnie każe obić, jeśli jeszcze pisnę choć słówko!

Widzisz Ojcze, jestem teraz na wybrzeżu i nawet nie wiem gdzie jest moja żona! czy wróciła do Ilongi? I widzisz jak Twoje pieniądze poszły na marne! Postaraj się, żeby Ci wrócili przynajmniej te pieniądze, które zapłaciłem za karteczkę mojej żony. Ten Europejczyk, który mi nie chciał zwrócić pieniędzy, jest złodziejem, bo przecież moja żona nie pojechała do Dar-es-Salaamu.

Pozdrawiam Ciebie i wszystkich innych w misyi i moją żonę, jeśli jest na miejscu. Nie gniewaj się na nią, ona się przelękła «dymiącego wozu», bo myślała, że to jest taki duży zwierz. Co robić?

Ale Twoje pieniądze!...

Twoje dziecko,
January, katechista.

Najbieglejszy mistrz tyle nauczyć nie zdoła,
Ile nauczy twarda przeciwności szkoła.

(Ks. A. S. Kr.).



Marya Renipatsa Tsialaina.

przez **W. O. Brégère T. J.**

Marya Renipatsa Tsialaina (»do niczego«) była typem rzadkiej moralnej piękności, ukrytej pod powłoką brzydoty odrażającej. Jeżeli natura zaniechała jeszcze czegokolwiek, coby mogło, dotkniętą klątwą, rasę Chama bardziej napiętnować i oszpecić, wynagrodziła to sobie hojnie na Tsialainie. Kańciastą jej szeroką twarz otaczał czarny zarost. Małe nizkie czoło zmniejszały szerokie, szczeciaste brwi, pod któremi kryły się zapadłe, szklane, bez życia oczy. Niezwykle odęte usta i płaski gruby nos dopełniały rysunku twarzy, czyniącej Tsialainę pośmiewiskiem pogańskiego, bezlitosnego pospólstwa. I tej to przyrodzonej szpetocie zawdzięczała nieszczęśliwa niezliczone cierpienia i wzgardę, potęgujące najczarniejszą i najbardziej gorzką nędzę jej pochodzenia. Nigdy też ani na chwilę w ciągu długiego 70-letniego swego istnienia na ziemi nie zaznała Marya tego, co zwykle przyjemnością życia się zowie.

Urodzona w niewoli, została wcześnie oderwana od rodziców, jedynych istot, jakieby może ją kochały. Pan jej, człowiek twardego serca, o własną tylko korzyść dbały, sprzedać usiłował biedaczkę, ale nie znalazł się nabywca. *Hehe! io tsy alaina!* (nie do użytku, do niczego!) odzywał się każdy, kto ją zobaczył, tak, iż słowa Tsialaina często powtarzane zostały jej przezwiskiem na

całe życie. Wobec tego, że nikt nie chciał nabyć niepożądanej niewolnicy, nie pozostawało właścicielowi nic innego, jak ją u siebie zatrzymać. Lecz jakie znaleźć dla niej zajęcie, by zeszła mu z oczu? Wyrok zapadł, iż paść będzie krowę. I tak biedna sierota, przyodziana łachmanem, od brzasku do nocy, w największą spiekotę i w deszcz ulewny, dzień w dzień szła za bydlęciem. A jakież było jej pożywienie? Po większej części — żadne. Czasem, gdy przechodziła koło pola, zasianego maniokiem, udawało jej się wykopać, za pomocą kawałka drzewa i własnych paznogci, trochę korzeni, które następnie połykała surowe dla zaspokojenia gwałtownego głodu. Zdarzało się też niekiedy, że litościwi chrześcijanie dzielili z nią swój skąpy posiłek. Były to dni uroczyste w życiu Tsialainy. W domu swojego pana dostawała więcej plag, niż kawałków mięsa. Nadto niezliczone razy była wyśmiana, wyszydzona, a nawet obrzucona kamieniami od pospólstwa. Miano ją za czarownicę, wskutek tego każdy uciekał od niej i lżył ją z daleka. Zbytecznem nadmieniać, że nikt z nią żenić się nie chciał. *Tsy alaina! Tsy alaina!* Jak utrzymywano, miała brata, lecz ten wstydził się jej; o pomocy więc z tej strony nie mogło być mowy.

Tak upłynęła większa część życia biednego stworzenia w samotności, bez rodziny, bez grosza, przeważnie w otwartem polu, o głodzie, w niedostatku, wśród wzgardy i pośmiewiska ze strony całego świata, bez pociechy z góry, gdyż Tsialaina nie wiedziała nic, niestety, o istnieniu Boga. A jednak, co wydaje się nie do uwierzenia, nie słyszano z ust jej nigdy skargi. Był to jej los, więc go przyjęła; rezygnacya jej była wielka, tak wielka, jak wielkiemi były jej cierpienia.

Ale oto już czas, kochani Czytelnicy, przedstawić Wam Renipatsę w ostatniej fazie życia i wskazać jak z biednej, wykluczonej z ludzkiego społeczeństwa istoty, nasza święta religia uczyniła dziecko Boże i wybraną chrześcijankę.

Pomimo poszukiwań nie doszedłem, kiedy zapisała się ona pomiędzy naszych katechumenów. Prawdopodobnie stało się to za pośrednictwem dzielnych chrześcijan, którzy ulitowali się nad nią. O. Abinal, poznawszy ograniczone jej pojęcie, udzielił najniezbędniejszych wiadomości, a następnie chrztu św. Odtąd zwała się Maryą Georginią, a chrzestną jej matką była Filomena Ramanatenasoa. Zaszło to w roku 1880. Od tej chwili była Tsialaina przemieniona. O, jakże cudownem jest działanie Ducha św. w duszy ludzkiej prostej, podatnej, a przez cierpienia i upokorzenia przygotowanej! Dusza Maryi odetchnęła pod wpływem dobroci chrześcijan. Ona, niegdyś odepchnięta i wzgardzona, chociaż i teraz niewolnica, stała się świadomą wartości swojej jako ludzkiej jednostki. W następnym 1881 r. przyjęła św. Sakrament Bierzmowania, a w rok później pierwszą Komunię św. Co wówczas zaszło w tej duszy, jeden Bóg to wie! W jaki sposób, za mego poprzednika, między 1883 i 1896 r. życie jej chrześcijańskie się rozwijało, w to nie wchodzę! ale jaką się stała odtąd i jaką dziś jest, wiem bardzo dobrze i muszę ją podziwiać. W roku 1896 wielkorządca wyswobodził ją i towarzyszy jej cierpienia z niewoli. Była więc wolną! Pierwszy zaś użytek, jaki uczyniła z tej wolności, stanowiło opuszczenie niegościnnego domu jej władcy. Choć innego schronienia nie posiadała, ufna w Bogu, Opatrzności Jego oddała się zupełnie i nie napróżno. Po raz to pierwszy wówczas zauważyłem ją między ubogimi, otrzymującymi każdego poniedziałku odemnie małą jałmużnę. I ona wyciągnęła rękę. Uderzyło mię, jak była szpetną w swych łachmanach. Nauczyciel szkoły Ramanatenasoa wziął ją, na prośby żony swojej Filomeny, do domu. A chociaż Filomena umarła i on ożenił się ponownie, Marya Georginia pozostaje zawsze na swojem miejscu, usiłując być pożyteczną, o ile może i o ile wiek i słabe zdolności jej na to pozwalają. W ten sposób używa, chociaż na starość, względnego dobrobytu pod gościnnym dachem swych dobroczyńców, zaopatrzona przez nich w ryż i odzienie.

Odpłaca to ona sercem pełnem wiernego przywiązania; wie jednak, że Panu Bogu zawdzięcza wszystko i Jemu całą swą winna miłość. I w istocie daje ona dowody tej świadomości, nikt bowiem nie jest tak gorliwy i punktualny w uczestniczeniu w nabożeństwie nie tylko w dni świąteczne, ale i powszednie, jak ona. Ani wiek podeszły, ani praca, ani wzgląd na daleką i uciążliwą drogę. na deszcz lub chłody, nie wstrzymują Maryi od stawienia się w domu Bożym i to o kwadrans lub pół godziny przed oznaczonym czasem. Przed każdą niedzielą lub świętem klęczy przy moim konfesyonale. Myśl o Komunii św. dnia następnego uszczęśliwia ją. Gdy kilka dni świątecznych po sobie następuje, prosi ona zawsze na nowo z wielką pokorą o Komunię św. Jest nienasyconą gorącą czcicielką Boga w Eucharystyi. — Wszystko to dobrze, powiecie, ale czy pojmuje ona, co czyni? — Czy pojmuje! Ja sam raz w tym względzie miałem wątpliwość i dla zbadania kwestyi zadałem jej odpowiednie pytanie. Odpowiedziała mi niezwłocznie: *Jeso Andriamanitro!* (przyjmuję Jezusa, mego Boga). Zapytuję jeszcze: »Ale dlaczego chcesz tak często Go przyjmować?« — »Gdyż On jest tak dobry!« *(mamy loatra i Jeso!)*. Od czasu wyjścia dekretu Ojca św., zalecającego codzienną Komunię św., prosiła mię niezwłocznie o pozwolenie przystępowania do Stołu Pańskiego każdego dnia. Dla doświadczenia jej kilka razy odmówiłem. »Jak chcesz«, odpowiedziała i odeszła przygnębiona. Ale litość mię wzięła nad nią. A jak pobożną jest przy dziękczynieniu! Nie ucieka ona, jak tyle innych, zaraz po ostatniej Ewangelii, lecz klęczy jeszcze $^1/_2$ godziny przed Zbawicielem swym w cyboryum ukrytym. Kogóż zadziwi, gdy powiem, że Renipatsa w całej parafii przez wszystkich jest kochana i szanowana dla cnót swoich i budujących przykładów.

Gdy mówiłem o »Dziele Rozkrzewienia wiary«, Marya Georginia pierwszą była wśród tych, co się zapisali. Pytałem w duchu: Skąd też ta biedaczka swoje 5 centymów (5 groszy) co tydzień bierze? A przynosiła je regu-

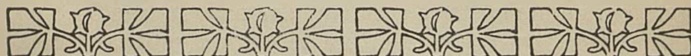
larnie. Skąd brała, nie wiem, lecz pewny byłem, że co niedzielę wieczorem, na zebraniu naszem, swoją monetę już w ręku trzyma.

O, Panie mój, jakże wielkim jesteś w maluczkich, a dobrym dla tych, co są pokornego serca!

W chwili, gdy kończę to sprawozdanie, widzę w duchu bogatych, potężnych, wielkich tej ziemi, jak z głębi wiecznych płomieni napróżno pomocy wzywają, jak do Tsialainy o kroplę wody dla ochłodzenia się wznoszą błaganie, do biednej, wzgardzonej Tsialainy, która na łonie Abrahama, wśród wspaniałości Niebios, spoczywa.

Tego imię, za życia, zapisane w niebie,
Komu chlebem powszednim jest ofiara z siebie.

(Ks. A. S. Kr.).





Czternastoletni murzyn męczennik

przez

Księdza Biskupa Aleksandra Le Roy.

Nie wszystkim w Europie wiadomo, że rzeka Ogowe jest dwa lub trzy razy większą od Sekwany, Loary i Garonny. Aż do Ndjole płynie rzeka Ogowe niekiedy bardzo burzliwie, pochłania statki i wielkie łodzie, unosi je ponad skały, wystawiając podróżnych na straszną walkę z niezmierzoną siłą spienionego żywiołu, którego grobowy szmer przejmuje przeczuciem nieuchronnej śmierci w razie przechylenia i przepełnienia wodą łodzi. W takim bowiem wypadku niema żadnego ratunku, ginie się bez śladu do chwili ostatecznego sądu.

Nie wszyscy jednak są narażeni na tego rodzaju niebezpieczeństwa. Razu pewnego Ojciec Tristan i Brat Hermes udali się byli po raz pierwszy do Lastoursville. W podróży tej, trwającej 25 dni, łódź ich czternaście razy była blizka zatonięcia, lecz Bóg ocalił ich życie, stracili tylko pakunki. Dodać należy, że oba brzegi rzeki Ogowe na długiej przestrzeni są zaludnione Pahuinami, którzy bez żadnej przyczyny strzelają do naszych łodzi, rabują nas i wyrządzają różne krzywdy. Wprawdzie nie należy się mówić źle o bliźnich wogóle, a w szczególności o swoich parafianach, a więc odwołuję, przyznając, że Pahuini są mili pod pewnymi względami — lecz trudno zamilczeć, że są rabusiami nieuczciwymi, kłótli-

wymi i najgorzej usposobionymi ze wszystkich dzikich plemion. Od siódmego roku mego życia studyowałem wszystkie typy i rasy na różnych polach handlu i jarmarkach, wtedy bez narażenia życia i kieszeni, kosztem dziesięciu centymów; dobre to były czasy!

Później z wielkiemi trudnościami M. de Brazza, lat temu dwanaście, dotarł pierwszy do tej krainy i zawarł układ z miejscowym naczelnikiem, uprawniający pobyt swój tamże, a nawet zjednał sobie zaufanie kilku rodzin, które powierzyły mu swe dzieci dla nauczenia ich języka francuskiego i nabycia ogłady przez zetknięcie się z nami.

Na tej to przestrzeni znajdujemy się dzisiaj. Ojciec Bichet i ja, każdy z nas w osobnej łodzi, próbujemy dostać się bez wielkich przeszkód do misyi św. Piotra Klawera, do Lastoursville. Nasz konwój składa się z dziewięciu łodzi wyżłobionych z pni kolosalnych drzew, zaopatrzonych żaglami i wszelkiemi środkami bezpieczeństwa, kierowany przez Dumasów z wielką śmiałością, zimną krwią i nadzwyczajną zręcznością. Od czasu do czasu, gdy ukaże się nad brzegiem znaczniejsza wioska Pahuinów, wioślarze nasi zatrzymują się, by zaopatrzyć się w artykuły żywności, których koniecznie nie potrzebują, ale ustępstwem w rzeczach mniejszej wagi okupuje się względny spokój w kraju, w którym strzelba w ręku rozstrzyga mniemane prawo — a więc dobiliśmy do brzegu. Dziki krzyk nagromadzonych krajowców prawie nas ogłuszał.

Wioślarze biegali za sprawunkami, ja przykuty przezornością do mej łodzi, spostrzegam dziecko w wieku od lat 12 do 14, przestraszającej chudości. Ciało jego powleczone skórą zeschniętą, ręce i nogi suche jak patyczki, czarne oczy, łzami zwilżone, świeciły wyrazem anielskiego spokoju, na ustach uśmiech pełen słodyczy. Widmo to, które zdawało się przypominać kogoś z grobu powstałego, odzywa się do mnie doskonałą francuzczyzną:

— Dzień dobry, mój Ojcze!

Prawie przestraszony odpowiadam:

— Jakto, ty mówisz po francusku?

— Tak, byłem w misyi Najśw. Maryi Panny w Gabonie, przyjął mnie tam O. de Brazza.

— I poznałeś mnie?

— Nie widziałem cię, mój Ojcze, nigdy, ale widzę po twem ubraniu, że jesteś misyonarzem.

— Tak jest. Czyś ochrzczony?

— Tak.

— Jakie masz imię?

— Floryan.

— Ale jesteś chory?

— Jestem otruty.

— Otruty, o biedne dziecko! Przez kogo?

— Przez tych tu Pahuinów.

— Dlaczego?

— Chcieli, bym czcił ich bożka. Opierałem się tym czarownikom i zadali mi truciznę.

— Co mówi na to twój ojciec?

— Nie mam ojca ani matki.

Oczy dziecka i moje zalały się łzami. Po chwili milczenia Floryan rzekł:

— Ojcze wyspowiadaj mnie, mam jeszcze żyć 10 dni. Bóg dobry cię tu zesłał.

Bardzo rozrzewniony zaraz wyspowiadałem tego pokornego męczennika: on stojąc na brzegu, ja w mojej łodzi, a miłosierdzie Boże nad nami. Czarownikowi, który się coraz więcej zbliżał i to było za długo — spoglądał na nas wzrokiem szatana, wioślarze także naglili. Dziecko uklękło, a ja z oddalającej się łodzi dałem mu ostatnie rozgrzeszenie i błogosławieństwo.

Słowa: »Dziękuję ci, Ojcze — teraz jestem szczęśliwy!« — długo jeszcze słyszałem, a dłużej jeszcze widziałem go umierającego śmiercią powolną i spokojną za wiarę i moralność chrześcijańską z najwznioślejszem poddaniem się woli Bożej.

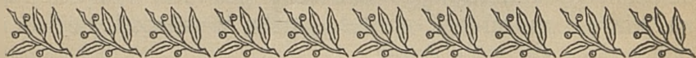
Budujące dla mnie było to spotkanie. Czternastoletnie dziecko, żyjące bez księdza, bez rodziców, bez przyjaciela, któryby niem kierował, wiernie przechowało miłość dla Boga prawdziwego aż do śmierci męczeńskiej. A chociaż ciało jego jako skazanego wrzucono zapewne do rzeki, mam nadzieję, że duszę tę wybraną unieśli Aniołowie Afryki do nieba, a Bóg sprawiedliwy umieścił ją w poczet wyznawców Swojej świętej wiary.

Myślę, że obraz tego Murzynka mógłby służyć jako wzór dla wszystkich wyznawców nauki Chrystusowej, prześladowanych w Europie za wiarę i moralność przez Pahuinów mniemanej cywilizacyi.

Bohaterskie to godło wytrwać do ostatka;
Wytrwałość to — stal duszy, Męczenników matka.

(Ks. A. S. Kr.).





ODBITO W DRUKARNI »CZASU« W KRAKOWIE 1913.

»Tomiki Misyjne«

zawierają artykuły i opowiadania misyjne, wiadomości treści religijnej i etnograficznej.

Są one niezmiernie interesujące dla wszystkich, którzy się zajmują sprawą misyi afrykańskich, bądź z powołania, bądź z naukowych lub amatorskich względów, śledząc ich rozwój i postęp.

»Tomiki« nie są ani gazetą ani czasopismem, każdy »Tomik« jest niezawisłą od innych całością; tylko wspólny tytuł »Tomików misyjnych» i treść zaczerpnięta z życia misyonarzy i nawróconych murzynów wiąże je z sobą.

»Tomiki« godne są polecenia dla seminaryów, kollegiów, do bibliotek i czytelni katolickich.